OBRONA
ŚWIĘTÉJ CZĘSTOCHOWY,

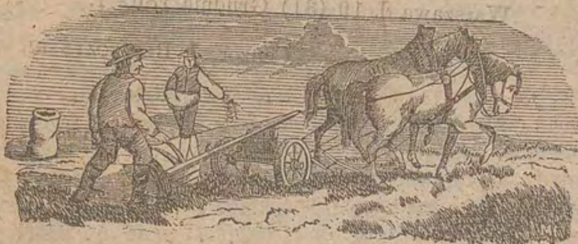
HISTORJA CUDOWNA A PRAWDZIWA

O JACKU BRZUCHAŃSKIM

ORGANIŚCIE CZĘSTOCHOWSKIM,

na cześć i chwałę Boską, a dobrym ludziom na pocieszenie
opowiedziana przez

JÓZEFA SZUJSKIEGO.



Wydanie Trzecie.

NAKŁADEM REDAKCJI GAZETY ROLNICZÉJ.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI H. NATANSONA,
Krakowskie Przedmieście Nr. 415.
1863.

Cena egzemplarza groszy 6.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa d. 19 (31) Grudnia 1862 r.

Cenzor, J. Błeszczyński.

w Drukarni J. Jaworskiego.

PRZEDMOWA.

Klasa średnia mieszkańców kraju naszego, jak rzemieślnicy po miastach, drobna szlachta i oficjaliści gospodarscy po wsiach i tym podobne stany, wyżéj w pojęciach posunięte, z chęcią czytałyby dziełka i publikacje perjodyczne dla ich pojęć przystępne. Przekonaliśmy się o tem naocznie i podnosząc już oddawna w *Gazecie Rolniczéj* potrzebę podobnego wydawnictwa, któremu nie spekulacja, ale myśl dobra społecznego przewodniczyć winna, zamierzyliśmy czas od czasu wydawać dziełka mniejsze i większe dla podobnego rodzaju czytelników przystępne dopóty, dopóki kto inny myśli téj z lepszym skutkiem w czyn nie wprowadzi. Zdaniem naszem, dziełka dla téj klasy czytelników, pod względem ceny powinny być jeszcze przystępniejsze, aniżeli dla ludu, dla którego, jak doświadczanie przekonało, ofiara panów czyli właścicieli ziemskich, stworzyła szkółki, zakupuje książki. Szlachcic na zagrodzie — oficjalista, jak ekonom na wsi, wreszcie biedniejszy rzemieślnik w mieście, gdy kupuje książkę, oddaje wtedy część krwawo zapracowanego zarobku, a samem czynem kupna dowodzi, że zrozumiał potrzebę oświaty, która o wiele uzacnić jego stanowisko jest tylko zdolna. Zarabiać na takiem wydawnictwie, byłoby grzechem, z tej zasady wychodząc, kiedy ofiara autora p. Józefa Szujskiego i p. Jana Dobrzańskiego pierwiastkowego wydawcy tej książeczki, stawiły nas w tem położeniu, że dziełko niniejsze wydać możemy za zwrotem tylko kosztów papieru i druku. Wydajemy więc go z tem przekonaniem, iż najniższą w dotychczasowych wydawnictwach oznaczając cenę, dobrze dla oświaty działamy.

Wydawnictwo nasze w tym kierunku, rozpoczynamy od dziełek historją ojczystą traktujących — dlaczego? niepotrzebujemy się tłómaczyć, to tylko nadmieniamy, że jeżeli myśl nasza należycie ocenioną zostanie, wtedy wydamy *Pamiętniki Paska*, z kilkudziesięciu drzeworytami, za cenę jak najprzystępniejszą, ku czemu już stósowne kroki poczyniliśmy.

Redakcja Gazety Rolniczej.

OBRONA Śtéj CZĘSTOCHOWY.

1.

Pan Jacenty Brzuchański, mieszczan w Częstochowie,
W siedmnastego wieku żył drugiej połowie,
Podczas najazdu Szwedów. Był to człowiek stary,
Poczciwy organista od świętej Barbary,
Kościoła co pod Jasną zbudowan był Górą.
Ale jak wielu poczciwych na świecie,
Którzy na chwałę Panu kolędy śpiewali,
Byłby zginął, osłonion niepamięci chmurą,
Gdyby nie ksiądz Kordecki. Jeżeliście czytali
Jego Gigantomachią,*) łatwo tam znajdziecie
Nazwisko, które autor odgrzebuje ninie
Dla tych, co nie są biegli w dziejach i łacinie,
Czując nie mały honor, że im rzecz przełoży,
Którą zostawił w spadku wielki ten mąż Boży.

2.

Owóż Jacek Brzuchański był mieszczanem z rodu,
Na usługach klasztornych wychowan od młodu,
W bojaźni Bożej, w cześci dla niebios Panienki.
Muzyk z dziada, pradziada klasztornej kapeli:
Sześćdziesiątka mu szronem skroń poważną bieli,
Ale krzepki i zdrowy choć chudy i cienki,
(Jak to często sprzeczności są w rodowych mianach!)
Nikt lepiej w okolicy nie grał na organach,
Nie śpiewał i nie władał każdym instrumentem
Czy to rzniętym, czy dętym, czy dętym czy rzniętym.
A gdy w odpust klasztornym przewodził muzykom,
Niby hetman rycerskim dowodzący szykom,
Gdy z chóru na organu uroczyste głosy
Nizał pieśni pobożne: to się pod niebiosy,
Przez kościelne sklepienia głos dobywał wdzięczny,
I grzmiał, jakby się z piersi rozchodził tysięcznej,
Że aż człeka myśl w niebo wlatywała śmielej,
Bo wznosiły ją tony jak rajscy anieli.

---

*) Gigantomahia, opis oblężenia Częstochowy przez Szwedów.

A wymowy miał wiele i bez preparacji
Zawsze gotów był Jacek do każdej oracji
Na kolendę, mięsopust, czy na alleluja:
A kiedy się w koncepcie i swadzie rozbuja,
To już drugiego w żadnej nie wynaleźć stronie.
Na Rusi, czy na Żmudzi, w Litwie lub Koronie.
Po łacinie, mawiano, umiał z używania
Długiego i kościelne rad wzmacniał śpiewania
Swym głosem, a pobożni łatwo rozpoznali
Że śpiewał expedyte, jak księża śpiewali.
Wielkie też zachowanie miał Jacek u świata:
Ksiądz przeor go szanował i kochał jak brata,
Chociaż go wola Boża w niskim stanie trzyma.
Kochali zakonnicy i bracia mieszczanie,
A gdy czas kolendowy przynosiła zima,
A Jacek w okolicę puścił się z opłatkiem:
To szlachta wdzięcznem sercem przyjmie winszowanie,
Ze czcią podejmie starca, hojnym darzy datkiem,
I przychylnemi słowy poufnie odprawi,
A on każdemu progu z serca błogosławi.
A że i Panu Bogu dobrze Jacek służy,
Toć ma i dom zasobny i dobytek duży,
I ze żoną poczciwą cieszy się w wiek późny,
Że już dziateczki wszystkie opatrzył na świecie:
Jednego w służbę przyjął koronny Oboźny.
Drugi już organistą w cudownym klasztorze
Wyręcza ojca, trzeci na posługi Boże,
Na proboszcza wiejskiego się wydostał przecie;
Tylko córeczka jedna, ulubione dziecię,
Jeszcze kwitnie przy starcu i lata mu słodzi,
I około rodziców opiekunką chodzi.

3.

Aleć kto jeszcze żyje, ten nie wolen troski,
Zadekretował z dawna tak majestat Boski:
Więc i na pana Jacka stareńkie już lata
Przyszła boleść i sroga przyszła tarapata,
Nie z domu i nie z dzieci, lecz z publicznej sprawy:
Pan Bóg podniósł nad Polskę miecz zniszczenia krwawy
I ziemia w krzyż upadła przed Panem mścicielem,
A każda dusza polska zdarła mir z weselem.
Nie darmo nad stolicą niebieskiej Panienki

Widma straszne, ogniste miotły i szablice
Wzniosły się, nie darmo w wichrów nieba wrzeniu
Dwa wojska napowietrzne toczyły bój dziki:
Za niemi, jako piorun po błyskawic lśnieniu,
Północnego ludu zjawiły się szyki.
Szwedzi! Szwedzi! głos straszny spłynął polskim łanem,
I odtąd groza kary jakoś na świat siadła,
Że nie było wesela we wschodzie różanym,
Na zachodzie się krwawo szyba słońca kładła;
Strach Boży szumiał mocą w dzikim wichrów świście
Jękiem bolu kwiliły po dąbrowach liście,
Wyły psy, a na piersiach ludzi ciężar siadał,
Że się żaden już więcej spokojnie nie kładał,
Jeno zrywał się ze snu i oczy zlęknione
Otwarłszy, szeptał cicho: „Pod twoją obronę.”

4.

Szwedzi! Szwedzi! Głos straszny coraz bliżej leci,
O częstochowskie wieże bije w dźwięk miedziany:
Szlachta z okolic, niby do macierzy dzieci,
Ciągnie w klasztor, pod pieczę Przenajświętszej Panny.
Jadą ładowne wozy, z familją, z dobytkiem,
A z niemi coraz nowe, coraz krwawsze wieści,
Że się klasztor stał w krótce skarbnicą boleści:
Jako wódz szwedzki z swem rycerstwem brzydkiem
Przyjęt od Wielkopolan i uznan za króla,
Z szlachtą olbrzymim krokiem przez kraj biedny sunie,
A król prawy mu wszędzie ustępuje z pola.
Wężem czerwonym łuna wije się po łunie.
Coraz dalej w głąb kraju jak żmija się wżera,
Wzięta Warszawa, Wieluń, Kraków oblężony,
I król podobno ziemie opuścił Korony.
Niema obrońcy: starcem już dzielny Rewera,*)
Wojsko odbiegło znaków i łączy się z wrogiem:
Tylko Czarniecki jeszcze bram Krakowa broni,
Ale nie walczyć jemu z zagniewanym Bogiem.
Padł wyrok: Lanckoroński z rozpacznem obliczem
Szwedzkiej uległ potędze w bitwie pod Wojniczem,
A na schyłku już Kraków, stolica Polonii.

---

*) Rewera Potocki, hetman polski.

5.

W Częstochowskim klasztorze słychać szlachty lament:
Dzień i noc przed obrazem cudownym Marji
Widać szlachtę w opończach i panów w delii,
Jak się modlą, pokuty przyjmują sakrament,
Krzyżem leżą i coraz w obliczu żółcieją,
Ale pośrodku poznasz i czoła z nadzieją,
I na kordach oparte dłonie wojownicze:
Pan Zamojski miał oto weselsze oblicze,
Pan Czarniecki i Górski a Kordecki w chórze,
W pośród przelękłych mnichów ma pogodne czoło,
Podobne śnieżnej górze, co nad chmury w koło
Wystercza i nad dolin unosi się cienie,
Jasna, patrząca znać w słońca promienie.
Pan Jacek przy organach, zżółkły, chudy, blady,
Mocno ciśnie klawisze, głos dobywa gromki,
Grozę w czole, a w oku wrzących łez ma ślady:
A gdy zaintonuje jaką pieśń z koronki,
To jakby serca polał słonecznym promieniem,
Tak każda jego nuta kwili pocieszeniem.
A jak wieczorną dobą, przy modlitwie nocnej
Zahuczy: „Święty Boże, nieśmiertelny, mocny!”
To się zatrzęsie kościół z odwiecznej posady,
I zda się, że wrastają wysokie arkady
Gdzieś w niebo, pieśnią straszną przebite jak klinem,
Że jawi się panienka z ukochanym synem
I dzierży go na krzyżu olbrzymich ramionach,
Aż ryk płaczu mu czoło blade z snu obudzi,
I z krzyża wzniesie ramię bbogosławiąc ludzi,
Co w chwili kary w takich ozwali się tonach.

6.

I coraz jakoś ciaśniej i duszniej w klasztorze:
Widać, że się zbliżają wielkie sądy Boże;
Lampa, co przed obrazem cudownym migoce,
Nieustanna, sycona całe dnie i noce,
Jak chrześcijańska modlitwa, wieczna błagalnica
Coraz na bledsze pada i smutniejsze lica.
Tylko kiedy się w nocy wszyscy spać pokładą,
Znużeni trudem: przeor przed obrazem klęka,
A twarz ma nieruchomą, ni smutną, ni bladą.
W obraz topi się oko, z ręką schodzi ręka,

Pierś mu nieznaną jakąś siłą przestrzenieje,
A choć chwilę w krzyż padnie, łzami twarz zaleje,
Choć go znać, wagą całą krzyż pański przyciśnie,
Choć mu boleść się w duszy, jak ptaszę rozkwili:
To duch Boży go wzniesie i przez łzy zabłyśnie,
I widać, jakąś wielką pewnością posili,
Że prawice dziękczynne, synowskie, natchnione,
W górę wzniesie, gdzie matka i niebios królowa
W mgle nocnej swoje lice opiekuńcze chowa,
I pewnym idzie krokiem gotować obronę.
Tak ci powitał przeor dzień szturmu. Północą
Szedł z kościoła ku celi, bożą krzepiąc mocą.
Patrzy: aż się ku niemu ktoś cieniem pomyka,
Pan Jacenty Brzuchański wita zakonnika
Pocałowaniem w rękę, Dziendobrym. „To Wasze?..”
„Ja przewielebny ojcze... Tak się tu modliłem
W kącie i Najświętszej Panienki radziłem,
Czy mam puścić moje miastowe poddasze,
Przenieść się do klasztoru, czy pozostać w mieście.”
„A jużcić do klasztoru przenieść się nareszcie,
Bo nie bardzo tam pono na mieście bezpieczno,
Szwedzi za lada chwilę staną pod klasztorem,
Nie myślę, aby byli dla miasta z faworem.”
„Tak ci jest. Lecz mieć w pieczy trzeba duszę wieczną,
Boskiej jeno nie ludzkiej obawiać się kary.”
„Cóż znowu?”
„Organistą u świętej Barbary
Jestem od lat czterdziestu, a sumienie każe
Abym wytrwał do końca przy świętej Barbarze.
Chociaż kościół zamknięty i milczą organy.
Ale wypadek może być nieprzewidziany.
Kwarta*) u Szwedów, toć to katolicy sami,
Gdzie pójdą do kościoła, a między Szwedami
Może się jaki znajdzie, co jest naszej wiary,
Więc im trzeba usłużyć u świętej Barbary.
Albo kto, proszę pójdzie z kolendą na święta:
Jeszczeby bez opłatka byli niebożęta!
A lud biedny, chudzina rozpierzchnięta w strachu?
Toćby nie miał mieć nawet kościelnego dachu?
Albo na cóż ja tutaj, — ja staruch usłużę?
A zdam się klasztorowi przy klasztornym murze,

*) Wojska pol., utrzymywane z czwartej części dochodów królewskich.

I Matka Boska w duszy cicho mnie przyrzeka,
Że rada mieć za murem przychylnego człeka.”
„Aha! tutaj Waść mierzysz! Otóż nie pozwolę!
Stary jesteś i Szwedów ci nie wywieść w pole.
Siwej głowy nie trzeba na szwank ryzykować,
Weź żonę i z dobytkiem się na górę sprowadź!„
Ale pan Jacek księdza ujął za kolana,
Mówiąc z płaczem: „Jamć myślał, że ksiądz przeor lepiej
O mnie myśli i jeszcze w duchu mnie pokrzepi.
Modliłem się tu w kącie, a Najświętsza Panna
Co księdzu przeorowi bronić się kazała,
W tej samej chwili Jacka do miasta wysłała.
Widziałemć jak promienie świętej łaski boże
Padły na twe oblicze, wielebny przeorze,
Aleć i maleńkiego mnie wtedy dosięgły.
I wielkiego z maluczkim razem z sobą sprzęgły,
Aby z ofiarą możnych, dar maluczkich razem,
Przed Przeświętej Panienki był złożon obrazem.
Padłem w krzyż i w pokorze modliłem się długo,
Czy mnie nie mami szatan kościelną usługą,
Alեć zwątpienie z łzami z duszy się wylało,
I wiem, że co mam zrobić, będzie z Pańską chwałą.”
Tu pana Jacka lice dziwna jakaś łóna
Obłysła—do przeora podniósł swe ramiona
Błagalne, i łez wielkich strumień uroczysty
Spłynął marszczkami chudej twarzy organisty;
A ksiądz przeor się modlił jeszcze czas niejaki,
Spojrzał w twarz organiście, poznał boże znaki,
I wzruszony zawołał: „Idź panie Jacenty!
Widać to taka wola Panienki Przeświętej,
Idź i służ razem ze mną dobrej naszej sprawie,
A oto ja ci w drogę, starcze, błogosławię!“
Wtedy oknem kościelnem wszedł pierwszy świt rana,
I z dłoni przeorowej i oczu błyszczących
Padł pęk promieni jasnych i błogosławiących
Na głowę starca, czołem schyloną ku ziemi:
Hejnał ozwał się z wieży i dzwonów się szklanna
Nuta zmieszała z tony hejnału drżącemi,
A razem odgłos trąby nadleciał wojskowy.
Groźny. Lecz nie zadrżały obu mężów głowy,
Tylko szepnęli: „Szwedzi!“ i na dwie się strony
Rozeszli: Przeor środki obmyślać obrony,

A szybkim krokiem, choć był schylony i stary,
Pan Jacek do kościoła u świętej Barbary.

7.

Błogosławione wieki, kiedy w nieszczęść gromie
W czerwonym słupie ognia, w krwi wylanej dymie
Bóg podnosił ramiona sądzące, olbrzymie,
I na ziemi obszary zlatywał widomie,
Jako za czasów dawnych, kiedy prorok w Panu
Lud boży przez pustynie wiódł do Kanaanu:
Kiedy przed chwilą kary, Chrysta postać biała
Pielgrzymio idąc światem, do chat zapukała,
I grozą napełniła grzeszne serca ludzi:
Kiedy anioł pokuty smutne dusze budzi.
I pokazując krwawą nad ich głowy zorzą.
Każe im przebłagiwać sprawiedliwość bożą:
Gdy niewidome słowa niebieskiego rządu,
Słyszalne duchom ludzi jako trąby sądu.
Wzlatywały postrachem przez pierś pokolenia,
I budziły w niej dzwony płaczące sumienia:
Kiedy serca w ciemności pogrążone nocnej,
Z przepaści rwą się w górę, kiedy im Wszechmocny
Nie odebrał anielskich skrzydeł zmartwychwstania,
Lecz dozwolił ptakami bić w swoje mieszkania:
Gdy na szali przeznaczeń maluczkich zasługi
Miecz kary na czas jeszcze przeważały długi:
Kiedy natchniona dusza ramiony silnemi
Mogła jedna powstrzymać upadek swej ziemi:
Kiedy ludzie wierzyli w święte moce cudu:
W dziejach modlitwy losy spoczywały ludu!
Dziś inne czasy, inne są losów koleje,
Miedzianne niebo słoni wyższych rządów dzieje,
A Pan, co szale rządu trzyma kędyś w górze,
Twarz miłością nam ukrył w piorunowej chmurze,
A gdy smętnemi z krzyża popatrzy oczyma,
Któż mu dostoi kroku, kto oka dotrzyma?
Nikt! nikt! Jeno wśród dusznej odpadłych obawy,
Czujem, że niewidzialny, sędzia ludzi prawy,
Wśród gmatwaniny życia berło rządu dzierzy,
I pojawi się kiedyś groźny, cichy, łzawy,
Ale nikt jego gniewu modłą nie uśmierzy.

8.

Kędyż w dziejów obszarze znaleść takie dzieje,
Jako dzieje obrony Jasnej Częstochowy?
Co w nich ręka niebiosów tak ci widocznieje
Że w głębokiej pokorze musisz schylić głowy,
I jako dziecię małe złożyć ręce w skruszę,
Jakby skrzydło anielskie musnęło twą duszę,
Jak gdyby święta jasność krain za błękitem,
Uderzyła cię grozą i dziwnym zachwytem,
Że boisz się odetchnąć, byś tem odetchnieniem
Nie zmącił wiatrów, drżących Cherubinów pieniem.
Upadł kraj, król wygnany—aż do Tatrów szczytu,
Wieją sztandary wroga w przestrzeniach błękitu,
O ziem runęły państwa filary stalowe:
Pan Rewera na kresach siwą schylił głowę,
Lanckorońskiego Wojnicz szablicę zgruchotał,
Pan Lubomirski smutnem patrzy okiem z Spiża,*)
Czarneckiego w Siewierzu Szwed słowem obmotał:
Jednego w całej Polsce nie było rycerza!
Ale jako Pan zbudza wyznawców z kamieni,
Tak teraz w bohatera sługę swego zmieni,
Hetmańską duszę kładzie pod mnicha habitem;
A gdy żadna nadzieja Polsce nie promieni,
To każe pod gwieździstym szukać jej błękitem!

9.

Odkąd cudowny klasztor Szwedzi otoczyli,
Pan Jacek już spokojnej nie miał w życiu chwili,
A chociaż dzięki kwarcie, co w miasteczku stała,
I dom jego w całości i chudoba cała,
Nie usiedzieć mu więcej, ni oka nie zmrużyć:
Na nowym posterunku chciał Marji usłużyć.
Jako czajka, co z gniazda od dziatek spędzona,
Unosi się nad niemi kwiląca, strapiona,
Tak pan Jacek oblata z wyciągniętą szyją
Klasztor, choć nawalnice dział z obu stron biją,
Chociaż trzęsie się ziemia, a w bojowym dymie
Nikną kształty klasztoru wysokie, olbrzymie,
Widać go, jak przy wale, pochylony bokiem,
Klęcząc — bieg szturmu śledzi niespokojnem okiem,

*) Spiż, część kraju za Karpatami, należąca do Polski aż do roku 1771.

Modli się i po cichu wtórzy pieśniom w górze,
Co z wieżycy kościelnej, gdzieś w dymowej chmurze,
Lecą nakształt anielskich zastępów błyszczących,
Błogosławiąc poległych i krzepiąc walczących,
A Szwedów dziwną jakąś napełniając trwogą.
Lecz kiedy szturm przycichnie, wróg odstąpi blady,
To pan Jacenty nocą wylata na zwiady:
Jaka tam strata wrogów? czy stracili kogo
Ze znacznych, czemu dalej do szturmu nie gonią?
Czy wysłali trębacza i robią układy?...
Czy się zakonni ojce do poddania kłonią?
Aż nazbierawszy wieści, wraca do dom z cicha;
I do przelękłej żony tylko się uśmiecha
Wesoł, ruchawy; papier i inkaust bierze
I tajemnicze słowa pisze na papierze,
A potem znowu idzie do klasztoru drogą:
Żona modli się za nim, bo go złapać mogą,
Ale on wraca zawsze spokojnie i cało,
I wtedy snu użyje aby skrzepić ciało.
On to, kiedy pan Miller bombardy z Krakowa
Sprowadził, by tem prędzej legła Częstochowa,
Doniósł ojcom, spotkawszy je pierwej niż Szwedzi:
On wpierw nim szturm rozpoczną, zakonnych uprzedzi,
Wypuszczając gołębia z domu co w klasztorze
Ułaskawion, z przeora ręki jadał zboże.
On, gdy siostrzan Millera zabit był w namiocie,
Doniósł o karze bożej, co kacerzy miecie:
On przeprowadził fosą raz pana miecznika,
Gdy poszedł na wycieczkę z tłumem ochotnika,
A z rycerstwem dobranem i sam człowiek tęgi:
Zmącił obóz, pamiętne wyliczył im cięgi:
On doniósł, że król Kaźmierz wyjechał z Opawy,
I Marji Pannie, jako był katolik prawy,
Oddał w opiekę Polskę solennemi śluby,
Aby swoją koronę chroniła od zguby.

10.

Dwa miesiące Szwed klasztor już oblężon trzyma,
I strach do murów patrzy blademi oczyma,
Męztwo upada o ziem, zakonnicy sami
Smutnie patrzą w pogodne przeora oblicze,
Sprzykrzyły się spokojnym harce wojownicze.

„A nuż Szwed niecny rzezią święte miejsce splami,
Nuż zburzy piękny kościół i skarb, który dziady
Pokoleniami Marji składały w ofierze,
Na niecnych swoich rozpust podsytę zabierze?
Trzeba było odrazu przyjmować układy.“
A chociaż Marja Panna liczne cuda działa,
Biedni ludzie tak słabe przecie mają ciała,
Że im ręką żelazną bojaźń i cud zetrze,
Choćby zastępy niebios nadleciały w wietrze.
Dwóch jeno ludzi zawsze spokojnie i śmiele
Idą na służbę Marji, jakby na wesele:
Znąć więcej im osłonił Pan jaśni niebiańskiej;
Był to przeor Kordecki i Jacek Brzuchański.

11.

Zima—śniegi zaległy równiny do koła,
Dzwon z wieży głuchym dźwiękiem na mszę wiernych woła,
Nie widać słońca: zamieć kryje go grudniowa,
W białej szacie stanęła Jasna Częstochowa,
I patrzy jak po równiach szlakami czarnemi,
Szwedzi zajęli pole widokręgu ziemi.
Trzy dni nie wypuścili ni jednego strzału,
Tylko się śniegiem kopią ostrożnie, pomału,
Osłonięci zawieją, okryci tumany,
Podsadzają bombardy, stawiają tarany,
I norami jak lisy kopią się pod wały,
Złe duchy na obronę w mglisko ich odziały,
Lecz i tak nocą ogni nie śmieją zapalić,
Aby się przed przeorem z pracą nie pochwalić,
Ale z złowrogiej ciszy, bezecne stworzenia
Szturm gotują na sam dzień Bożego Wcielenia.

12.

Wilija—dzień prześliczny, sławny w zbożnym kraju,
Wilija, obchodzona po dawnym zwyczaju
Miłośnie i wesoło. Pan Jezus się rodzi,
Zbawienie świata puka do każdego proga,
Wszyscy ludzie zrównani w obliczności Boga!
Więc gospodarz po swoich domownikach chodzi,
Od żony aż do swego najlichszego sługi:

„Szczęście wszystkim i zdrowie, a i żywot długi.”
Dziatki igrają głośno przy ciepłym kominie,
Wieczerza zastawiona o gwieździe na sianie,
Garnie do siebie wszystkich, kogo w domu stanie:
Anioł błogosławieństwa na cały dom płynie
I na rok cały dawa spokoju i ciszy:
Boć nawet i zwierzęta jako lud to słyszy,
I belki, które wiążą dach chaty słomiany,
I sprzęty i świadome dziejów domu ściany,
Wtedy rozhowór cichy ze sobą zawodzą.
A na polu pod śniegiem kiełki oziminy
Szepczą ludziom, czy plonu im wiele urodzą.
Do dwunastej tak wszystko wyczeka godziny
W weselu, aże dzwonek na mszę zadziendzieli,
A chwała Panu w niebie, spokój dobrej woli
Ludziom—z dzwonkiem na wieży zanucą anieli:
Wtedy drogą od dworu i miedzami roli
Lud Boży do kościoła sunie uroczyście:
W kościele jasno, cicho, przez cmętarza liście
Wiatr szumi, jakby duszki, pod śniegiem grzebione,
Pacierz za żyjącemi szeptały stęsknione.
Ksiądz wyszedł—tu się spisać panu organiście;
Huczną kolędą Pana powitać nad Pany,
Jak zawitał w Betlejem, w stajence słomianej,
I w żłobku się z rączkami podniósł otwartemi,
Aby przygarnąć wielkich i małych tej ziemi.

13.

Ale w roku sześćsetnym pięćdziesiątym piątym,
Smutna wilija była w strapionej Polonii:
Głowa żadna domasznym nie cieszy się kątem,
Ani na mszę pasterską dziad kościelny dzwoni,
Ani ludzie nie idą do kościoła miedzą,
Ani w dworach igrają dziecięta przy stole,
Ani plonu nadzieją nie poszepta pole.
W ukryciu gdzieś po lasach biedne chłopki siedzą,
Przy ognisku zmarznięte ogrzewają członki,
Głodne dziecięta tulą się w rańtuchy matek,
Rzadki dwór niespalony, gdzieby dym gościnny
Pod niebem się w bieluchne układał koronki.
Wilija cicha, smutna nie igra rój dziatek

Pan z czeladzią się łamiąc z wilgnemi oczyma
Opłatek w drżącej ręce jakoś dłużej trzyma.
I łzą tajemnych życzeń pokropi pobożnie.
Wszystkich pobożnie zbliża nieszczęście do siebie:
Córki około matki, co chora obłożnie,
Klęcząc modlitwą Ojca błągają na niebie,
Syn milcząco spogląda na zbroje po ścianie,
I duma, rychło w szyku gdzie pancernym stanie.
Siwy dziad schylił głowę nad węgrzyna czarą
I zadumiał się wielce, aż źrenicą starą
Dwie łzy mu wypłynęły, mieszając się z winem;
A gdy północ wybiły z turkawką zegary,
A spustoszony kościół na mszę nie zawzywa:
Poklękniono do koła: ojciec, syn i córy,
A nad niemi się wzniosła głowa starca siwa;
Aż weselsi powstali i z zaciemnej chmury
Oknem dworu się błękit pokazał gwieździsty,
Niby Maryi Panny rąbek przezroczysty,
I dzwon się ozwał z dala — wesoły, godowy,
A dziad szepnął: To na mszę dzwonią w Częstochowy.
Wilja — w domu Jacka Jackowa się krząta,
Ochędożnie ociera proch z każdego kąta,
Stół zastawia, obrazy święte pooświeca:
Na jednym z nich Marja, Przeczysta Dziewica,
Kopja Częstochowskiej, brunatnego lica,
A dziwnie tajemnicza, boska, macierzysta,
Widać, że ją malował sam Ewangelista,
Tak ufność budzi, wielką i świętą nadzieję,
Jak się człeku przy żadnym obrazie nie dzieje.
Przy niej święty Hyacynt i Teresa święta,
Organistowstwa obojga patrony,
Za obrazami palma z gromnicą zatknięta,
I ziela od piorunów wieniec zawieszony.
Stół obrusem bieluchnym przykryty chędogo,
Z kuchenki zapach potraw leci smakowity,
Widać jest tam uraczyć i napoić kogo,
Jako bywa u rządnej, opatrznej kobiety:
Dziś się szczególniej ano musiała wysadzić ,
Bo miała wielu gości za swój stół posadzić,
Nawet szlachtę i księdza od świętej Barbary,
Kilku z kwarty, z któremi przyjaźnił się stary,
Poczciwych ludzi, tęsknych do polski zwyczajów,

Co chociaż w Szwedach służbie, przecie we czci mieli
Matkę Bożą i szczerze zwycięztwa jej chcieli,
A pana Jacentego w swą protekcją brali,
I od wszelkiej wandalskiej oppresji chowali.
A iż była niewiastą prawdziwie chrześciańską,
I rada ludzkie bóle leczyć i mozoły:
To w drugiej izbie trzy aż zastawiła stoły,
By uraczyć wieczerzą chudzinę włościańską.
Ale chociaż to mozoł miała dzisiaj duży,
I okryła już dziatki, zmarznięte na poły.
Starzyną, w czem jéj wiernie dobra córa służy:
Ułatwiła już wszystko, wieczerza gotowa,
I gwiazdeczka na niebo już wyszła różowa.
A pan Jacek nie przybył.
Trapi się Jackowa:
„Może jakie nieszczęście! Idź-no wyjrzyj Anno
Czy nie idzie?“
Hanna słuszną była panną,
Gibką jak łania, a jak jabłuszko rumianą,
Od rodziców w bojaźni Bożej wychowaną.
Więc kiedy zobaczyła matki swej strapienie,
Wyleciała na ganek w jedno okamgnienie
I wróciła za chwilę: „A toć ojciec bieży,
Pewnie ma coś ważnego!“
W zśnieżonej odzieży
Wrócił Jacek, a widać z postaci i twarzy,
Że coś wielce ważnego w swym umyśle waży,
Bo nie przywitał córki, którą kochał srodze,
Ani słówka niewyrzekł Teresie niebodze,
Jeno zawołał: „Hanko! idź do stajni żywo
I rozkaż tam chłopcu okulbaczyć siwą,
A jejmość niech mi kubrak mój żołnierski poda,
Inkaust, papier i pióro. Wszędzie obleciałem
Z kolędą, patrzaj Jejmość, na czole aż woda.
Oj srogo gospodarzą. W parafii całéj
Zaledwie cztery dymy niętknięte zostały,
Ratuj nas panie Boże!“
„O na rany!
Jakiś ty zgrzany Jacku i jaki sterany,
Odpocznijże: wilja czeka zgotowana,
Zaprosiłam kwarcianych, księdza kapelana;
A i jadło niezgorsze uwarzyłam przecie,

A ty znowu się zbierasz gdzieś gonić po świecie!
Jacku! Jacku do czasu nosił wilk barany. . .
Cierpnę, że ci na koniec przyjdzie opłakany,
A cóż ja biedna wdowa pocznę sama z dzieckiem?
W wojnę jeno się mieszać osobom szlacheckim,
A nie tobie, coś sobie mieszczan i chudzina!
„Cicho jejmość, nie wtrącać się w tę rzecz jejmości,
A nie obrażać Maryi. . . Mnie to nie pierwszyna...
Klasztor o bliskim szturmie nie ma wiadomości,
Zawieje i śnieg srogi, że niewidno wroga;
Myślą, że Szwed przynajmniej uczci przyjście Boga,
A oni tam gotują pono szturm ostatni,
Gdy król myśli na pomoc przyjść klasztornej matni:
Śliczna rzecz; gdy napadną nieopatrznych mnichow,
A od czegoż to Jacek? Wstydź się Jejmość srodze,
A z tych słów wyspowiadaj w kościele jak z grzechow,
Pięknieć, mężowi stawać na zbawienia drodze...
A czy nie wiesz, żem winien jako organista
Świętej Barbary, chodzić rok w rok na kolędę
Z opłatkami na górę? Fundacja wieczysta.
A ja jej pierwszy pewnie odmieniać niebędę.“
„Ale to czasy wojny“ wybąknęła żona.
„Otóż masz, w fundacji wojna niewspomniona...
Rok w rok stoi wyraźnie. Śliczny sługa boży,
Kiedy spokoj — bunczuczny, kiedy strach — to tchorzy
A od czegoż na świecie są święte urzędy?
Lichy żołnierz, co w wojnie od broni ucieka...
Więc niechaj nikt w klasztorze na mnie nie narzeka,
Żem w zły czas mu życzliwej nie poniosł kolędy.
Dawaj Jejmość opłatki, daj kubrak kwarciany.“
Organiścina kubrak podała po cichu,
Wzrok błagalny podnosząc do Najświętszej Panny,
By jej nie poczytała za tę bojaźń grzechu.
Mąż pisze — ona cicho chodzi po komorze,
Wzdycha i jakieś ciężkie przeczucie ją zmaga:
Ale skargi mężowska nie znosi powaga.
Z trudem pan organista skończył list niemałym,
Ile że rzadko pismo miewał w używaniu,
I zręcznie go opłatkiem pookrywał białym.
Potem z alkowy wyszedł w żołnierskim ubraniu,
Z pałaszem, co mu dźwięczał około goleni,
Podobnym do długiego rożna od pieczeni.

Kołpak żołnierski wsuął z fantazją na oczy
I samopałem w koło jako żerdzią toczy,
Że żona zawoła: Jacenty, Jacenty!
Poznają cię! poznają! Panienko Przeczysta!
A dyć to widać zaraz, żeś ty organista,
Organista od głowy aż do samej pięty!
To chociaż ten kołpaczek spuść nisko na uszy,
Bo widać, że siwizna już ci głowę pruszy,
Wąsy poczerń!" W tem rady Jackowej posłuchał:
Dobył węgla, oburącz wąsy posmoruchał
I zapytał: „A teraz"!? i krokiem marsowym
Na ganek wyszedł w swoim przemienieniu nowem.
Przed gankiem stoi Hanna i klacz ojca trzyma:
Niepotrzebnie, bo siwa była ślepą z rodu,
Nie miała ona chimer końskiego narodu:
Była spokojna w ruchach wielce flegmatyczna,
Jacek miał do niej słabość — mówił, że prześliczna;
Znały ją wszystkie dzieci i ludzie w parafji,
Pan Jacek na niej, bywa, jeździ po kolędzie,
A choć nie ruszy cuglem — ona węchem trafi,
Z długiego doświadczenia zawlecze się wszędzie,
Powoli lecz statecznie. Teraz łeb złożyła
Na ramieniu u Hanny i zamknęła ślepie:
Pan Jacek ją po bokach wytuczonych klepie,
Ale pani Teresa jeszcze zakrzyknęła:
„Jacku! ty na tej szkapie jedziesz do obozu?..."
Wtedy pan Jacek dobył już gromkiego głosu:
„Idź Jejmość do kądzieli, tam siedzić niewieście,
A nie gadać o koniach. Wiedz, że w całém mieście
Lepszej kobyły nie ma, sam przeor w stadninie
Niema, chociaż stadnina przeorowa słynie,
Cóż z tego, że oślepła? bo była ognista!
Ale za to wytrwała, krępa, podsadzista,
Spokojna, a choć trochę w pysku bywa tępą,
Żaden koń tak wybornie nie chodził mi stępą.
A jako czysty stanąć chcę kiedyś przed Panem,
Nie mieniałbym się na nią ze żadnym kwarcianym"
To rzekłszy, Jacek cmoknął na siwkę przychylnie:
Wzniosła łeb — w kopyta uderzyła silnie
I poszła drogą stępo, w kroki wymierzone,
Z organistą, co szeptał: „Pod Twoją obronę."

14.

Noc była mroźna, śniczne zamiecie ustały,
Ostatnie chmury, coraz bielsze i przejrzyste,
Przeświecone księżycem, wichry poganiały;
I po ziemi się światło jakieś uroczyste
Rozlało, jakąś dziwna mieszanina cieni
Z światłami, drgającemi od gwiazdek promieni.
Księżyc wybłysłszy nagle, klasztor zwalił stary
Cieniem czarnym na obóz Wandalów rozpięty.
A z drugiej strony cudnie kościoł pooświecał,
Że się zdał niby starzec siwy, biały, święty,
Co prawicą-wieżycą Polskę Bogu zlecał.
Pierwszy raz, odkąd klasztor oblężenie znosi,
Taki wesoły księżyc się nad nim unosi,
Pierwszy raz niebo taką pogodą przyświeca
By szata którą nosi niebieska Dziewica,
Gwiazdami błyszczącemi misternie utkana,
Wesoła jako chwila narodzenia Pana.
To też na murze zamku, w jasnym światła stoku,
Drużyna Częstochowska stanęła radośnie,
A serce od niebieskiej nadziei jej rośnie
Ksiądz przeor pewność świętą ma w natchnionem oku
Szlachta wesołem kregiem do niego się garnie:
„A to chwała Panience, zamieć się rozgarnie,
Mróz tęgi a pogoda. Łatwiej nam w klasztorze,
Niżli Szwedom na polu. Nie długo im może
Tu wytrzymać toć nie śmią zapalić ogniska
Biedacy, bo się boją salwy przy wieczerzy.
Na wał ani się wdrapać, taka ziemia ślizka:
Spokojnie zanucimy Panu: „W żłobie leży!“
Kiedy tak przeor mówi, na wale u wieży
W światła blasku na szkapie zjawi się kwarciany,
Zdjął kołpak, pod kołpakiem zaświeci łysina,
Częstochowscy krzyknęli: W imię Ojca, i Syna
I Ducha — wszak to Jacek — Jacek znów przebrany!,
A Jacek zawinięte w wór, opłatki ciska
I oracją wypala, podjechawszy z bliska,
Dodając, że na słodkie Pana urodziny
W opłatkach dobre niesie klasztornym nowiny:
A życzy, by wnet obszedł księży, szlachtę, braci
Mieszczan personaliter, jak stoi w fundacji.

Ledwie to Jacek wyrzekł aż z fosy niebawem
Zabłysnęły oręże promieniem jaskrawem;
Siwa w bok, chłop olbrzymi za cugle ją chwyta:
Da bist du, Vogel!! wrzeszczy. Częstochowscy z wałów
Na dół palą do Szwedów ze swych samopałów.
Ale wnet hurma cała opadnie biedaka,
Zraniona mieczem siwa ruszyła z kopyta
I raz pierwszy galopem urznęła z szłapaka.
„Księże przeorze! dusze-ć polecam i dzieci!"
Woła Jacek — w podrzutach do obozu leci,
Ginie w dali i czasem tylko się zaświeci
Łisina starca, w której księżyc się przeziera,
I twarz nie organisty — ale bohatera.

15.

Obóz Szwedzki, w szerokie rozbity połkole,
Jako wielka szarańcza, co przylega pole,
Na przestworzu śnieżycy czarną leżał plamą:
Wzdłuż szańców usypanych i przed każdą bramą
Wandalskie przelatują na koniach patrole,
I migają się w świetle czarnemi szlakami,
Jak mrówki z ruszonego mrowiska krążące,
To kręcące się naprzód, to powracające;
Na wałach, usypanych pod zamku murami,
Wkopane w ziemie Szwedy pilnują armaty,
I losem wysyłają na stracone czaty.
Niesforny gwar zamąca świętą wilji ciszę;
Dzwięk trąb w powiewie wiatru dziko się kołysze;
I hufce zewsząd spieszą na trąb owych grzmoty
Ku miejscu, gdzie czernieją dowódców namioty.
Srodkiem pól biedny Jacek w śród rajtarskich koni,
Na przestraszonej siwce nieprzytomny goni,
Jeno mu w uszach szumi jakiś głos stęskniony,
Niby żony czy córki: Jacenty stracony!
I chwilę taka wielka niemoc go owładła.
Ze mu i siwa broda na piersi opadła,
I ręce otrętwiałe cugiel opuściły:
„Moja żona! me dziatki! Mój ty Boże miły! "
Wtedy go hurma Szwedów ciekawych napada
Krzyk rośnie! Jeden płazem miecza go okłada,

Drugi harapem razy po grzebiecie oblicza,
Że się schyliła starca postać męczeunicza,
Szkapa ukłuta, mieczem, zawierzgnęła zadem,
A pan Jacek padł na twarz swém obliczem bladem,
Stłuczony spojrzał w koło okiem smutnem łzawem.
Zobaczył co się dzieje. A Szwedzi niebawem
Sadzają go na siwą przodem do ogona,
Przywiązują sznurami. Wtedy twarz znękaną
Nagle rozświeci jakaś myśl natchniona,
Twarda dusza ozwała się w staruszka ciele,
Podniosł oczy i nagle wyspokojniał dziwnie:
Nie rzekł ni słowa skargi, nie rzucił się gniewnie,
Ani o litość prosił swoje trapiciele:
Bo mu Pan wielką pomoc przysłał onej chwili:
Kiedy go obitego na szkapę wsadzili,
Męka Pańska przed duszą stanęła wyraźnie,
Jakby ją w Wielki tydzień odczytywał właśnie,
I Bogu się zlecając w modlitwie dziecięcej,
Szeptał sobie po cichu: „Jezus cierpiał więcej,
Więc, gdy ci kazał znosić dla swej Matki świętej:
To idź za Jezusem, to ty cierp Jacenty!"
I odtąd kiedy Szwedzi go policzkowali,
Chrystus przed nim się jawił wśród sądowej sali,
Jak nadstawiał policzka drugiego Żydowi;
Nadstawiał i pan Jacek, co Szwedów śmieszyło.
Gdy go bili, to Chrystus pod słupem mu mówi
W pokrwawionej sukience: „I mnie tylu biło!"
Kiedy go w płaszcz żołnierski szydersko ubrali,
To widział, jak się żydzi Chrystowi kłaniali;
Kiedy go wprowadzili do pana Millera:
To widział, jak się brama Heroda otwiera,
I Bogu się zlecając w modlitwie dziecięcej,
Szeptał sobie po cichu: „Jezus cierpiał więcej.
Więc gdy ci kazał znosić dla swej Matki Świętej,
To ty idź za Jezusem, to ty znoś Jacenty!"

16.

Jenerał Burkard Miller był człek znamienity,
Ranami i znakami zwycięztwa okryty,
Pogromca Danów, w wielu bataljach szczęśliwy,
Wesoły i hulaka. Czemuż to jedynie

Przed kurnikiem-klasztorem taki frasobliwy?...
Siedzi w namiocie smutny: gniew swój topi w winie,
I taką wściekłość z żrenic swych ponurych ciską,
Że sami Szwedzi niechcą zagadać doń z bliska.
Odkąd w szturmie siostrzeniec poległ ukochany,
Strzelający na klasztor z wojennej bombardy,
Czarnem suknem obwiesił namiotowe ściany,
Zbladł jak trup i ku ziemi kark pochylił twardy;
Dzień i noc siedzi cichy — do wodzow nie mówi,
Czasem każe armaty sunąć ku zamkowi,
To znów cofnie i ręką niecierpliwą skinie:
„Nie! nie zburzyć człekowi djablicy świątynię!
(Bo tak szwedzki wódz Pannę najświętszą nazywał),
Co więcej, we śnie nieraz straszliwie się zrywał,
Krzyczał dziko i w górę nad siebie wskazywał,
Ryczał płaczem i piszczał: „Widzicie tam w górze,
Mój siostrzan padł — ona nad nim na tej chmurze,
Ona, niewiasta biała jasność niesłychana
Od niej bije, zabrała mi mego siostrzana!“
A potem pięście składał i znów nieprzytomnie
Płakał: „Niewiasto boska! pójdz do mnie, o do mnie
Oddaj mego Olafa! Zmiłuj się nademną!“
Gdy wodze szturm radzili, on mawiał: „Daremno!“
Tarzał się wściekły w koło i z straszliwem śmiechem
Krzyczał: „Jenerał Miller ucieknie przed mnichem!“

17.

Właśnie jenerał Miller na łożu bojowem
Leżał, podwładnych żadnym nie uczciwszy słowem,
Chłonąc puhary wina, patrżąc obłąkanie,
Jak gdyby widmo widział na namiotu ścianie,
Kiedy mu hałas dziki przerywa milczenie.
„Kto mi śmie mącić spokój?“ zakrzyknął szaleńie,
Zerwał się i wojenną zadzwięczał ostrogą.
„Jeńca prowadzą prosto do namiotu drogą.“
„Jeńca!“ zazgrzytnął Miller, „dawnom nie wziął jeńca
Odpłaci mi sowicie za mego siostrzeńca!“
Wchodzi Jacek, a rajtar rzeknie: „Jenerale!
Tego szpiega złapalim na fortecznym wale,
Jak rozmawiał z mnichami i pismo im rzucił.“
Tygrysim susem nagle jenerał się rzucił:

Lecz Jacenty nie zadrżał, był blady i cichy:
„Taki jeniec! Staruchow wysyłają mnichy,
Miller co zmódz niemoże rycerzy w kapturze,
Nie wart innych. I taki podynda na sznurze!
Szpieg! szpieg! Coś ty za jeden?... odpowiadaj stary!“
„Jaśnie wielmożny panie rejmentarze!
Klecham i organista od świętej Barbary,
Niosłem księżom kolędę, jak powinność każe,
Odmowiłem oracją, opłatki podałem,
Ale do księży więcej słowa niegadałem.“
Pan jenerał włos czarny zaszarpał na brodzie
I krzyknął: „Tacy wszyscy, tacy wszyscy w grodzie,
Cisi jak duchy! jako czarci wytrzymali,
Czy to młody, czy staruch, co mu się łeb trzęsie!
Lecz czekaj! może inak będziemy gadali,
Kiedy Fryc ci żelazkiem powiedzie po mięsie,
Wołać Fryca! “
Pan Jacek łysiną zaświeci
Schyloną, za kolana ujmie Jenerała:
„Jaśnie wielmożny panie, mam żonę i dzieci,
Stary jestem: starego pożyć to nie chwała:
Siwy włos mam—nie chwała siwą głowę ścinać!“
„Ha! ha! tobie się nie chce staruchu umierać!
Jest rada! Wyznaj wszystko a powrócisz cały,
Powiedz, co słychać w zamku, co mnichy gadały,
Jak się długo opierać myślą mej armacie,
Znasz klasztor, no! to powiedz, które miejsce macie
Za najsłabsze, gdzie siła tej djablicy leży,
Że jej pożyć nie może huf zbrojnych rycerzy!
Gadaj stary, to złotem obsypie cię jeszcze.
A Fryc, kat obozowy, zjawił się, w czerwony
Kubrak ubran i z wolna kładł na wszystkie strony
Obcęgi i pilniki, łańcuchy i kleszcze,
Dmuchał na ogień w piecu, rozwieszał swe sznury,
I panu Jacentemu śmiał się w twarz ponury,
Pokazując rękami, jak użyje broni,
Co upartego człeka do wyznania skłoni.
Zbladł pan Jacek—pot zimny po czole mu leci:
Padł plackiem: „Jenerale! mam żonę i dzieci!
Mam coreczkę nadobną, pociechę starości!
Jenerale! tyś wielkiej doświadczył żałości,
Wiesz co nieszczęście! Szczerzem ja ciebie żałował,

Żałował przeor, iżeś siostrzeńca postradał:
Ty wiesz, jakby bezemnie biedny dom mój biadał,
Ktoby na moją córkę Haneczkę pracował!“
Ale pan Miller śmiechem ogromnym się śmieje
„A co staruchu! widać ci już w głowie dnieje!:
Nie pomoże ci klasztorna djablica,
Gadaj stary! lub pójdziesz w ręce mego Fryca:
Czas leci, wielcem nowin z klasztoru ciekawy,
Zobaczymy staruchu, czyś katolik prawy,
Powiesz czyli nie powiész?!“
Wtedy krew od serca
Buchła panu Jackowi w jego twarz wychudłą:
„Nie powiem, jenerale: ja nie przeniewierca,
A żem katolik, niechaj powie krwi mej źródło!
Lecz iżem ojciec dzieciom, trudneć mi ofiary,
Więc wołam jeszcze panie: „Uchroń mnie od kary!
Patrzaj! jam człek słabiuchny! jam jest człowiek stary
Praca rozgryzła ciało i włosy me białe;
Nie tyraj starych kości, co na pańską chwałę
Tyle lat już przeżyły, niech spoczną w spokoju!
Tyś człek wielki, dowódca sławny w wstępnym boju,
Ale nie zbójca starców, i kalek i dzieci
Zlituj się!“
I skroń zniżył ku Millera nodze,
Ale wtedy jenerał odepchnął ją srodze,
Głowę starca, że zerwał się dumny i śmiały.
„Krew moja na twą głowę i na twych niech zleci,
Nikt darmo nie poterał głowy posiwiałej!“
„Weźcie go! huknął Miller. Tu oprawce wpadli,
Sznury i pasy na ciało obnażone kładli.
Że jak ptaszyna z skrzydły rozwianemi w koło,
Zawisnął pan Jacenty. Lecz ciche miał czoło,
Zaciął zeby i trwogi nie pokazał ruchu.
Dano znak. Sznury na wsze rozbiegli się strony,
Przez zęby pisnął Jacek w środku zawieszony;
Opadły mu ramiona, zachrzęszczały członki,
Upadł o ziem.
„A co tam? czy gadasz staruchu!“
Pan Jacek nic nie wyrzekł, coś szeptał po cichu:
Do Panienki najświętszéj odmawiał koronki.
„Ho! ho! w tym starym widzę dusza jakby w mnichu!“

Zawył Miller i wściekle z złości się zapienił:
„Ale widzę się pilnik dobrze rozczerwienił!
Spróbuj Frycu!“
Z żelazem ognistem Fryc kroczy,
Trzykroć panu Jackowi zaświecił przed oczy;
Jacek głowę położył brodą na podłodze
I milczał.—Syk straszliwy rozlega się srodze,
Drgnęło ciało, a oczy zaszły czechłem białem;
Wyciągnął się pan Jacek—i zdał się omdlałym,
Ale na twarzy spokój. Usta drgają jeszcze
Słowem: Marja!
„Mów stary! czekają cię kleszcze!“
Starzec spojrzał.—W źrenicy dziwne miał promienie
I nie widział Millera. Gdzieś w namiotu cienie
Patrzy, dłońmi białemi chce ruszyć naprożno:
Zachwyt jakiś i rozkosz ma w twarzy pobożną,
A czasem rusza głową, by nadstawiał ucha:
Czy harmonii anielskiej i ich śpiewu słucha?
Patrzy coraz promienniej, i jak jasne świece
W środku namiotu, płoną dwie jego źrenice.
„Gadaj stary!“ Znów cisza, Miller się rozpienił:
Zaledwie: Kleszczy, kleszczy! wyszczeplenił.
Fryc z oprawcami ujął straszliwe narzędzie,
Podniósł starca, bieluchne ciało się zwiesiło
Mu przez rękę. Zatopił— żelazo się wpiło,
Krew trysła—Jacek zadrgał: „Ha! ha! mówić będzie!“
Ale w kilku podrzutach Jacenty się rzucił,
Jak zgruchotan o ziemię—głowa jego biała
U stóp Millera w włosy śrebrne się rozlała;
Pódniosł ją jeszcze, w górę ku niebu gdzieś zwrócił
Wtedy wszyscy się nagle od niego cofnęli,
Tak była jasną—Cisza nastała straszliwa,
A głosem, jak brzęk muchy po szybie dziendzieli,
Pan Jacek nagle z piersi skrwawionej wyjęka:
„Matka Boska! przeczysta panienka!”
I uderzając czołem o ziemię, omdlewa.
Osłupiał pan Jenerał na środku namiotu,
Osłupieli wodzowie. Aż głosem grobowym
Wyrzekł wódz: „Starca złożyć na łożu bojowem
Mojem własnem i w dobrem mieć go zachowaniu,
A jutro niech trębacze dadzą znak odwrotu.“
Nikt się nie oparł jenerała zdaniu,

A Miller czoła swego ku ziemi ugina:
„Vicisti diva mulier, vicisti regina!“*)

18.

Gdy się Jacenty zbudził, zdziwił się niemało:
Lampy złocistej światło mu nad głową drgało,
Ulgę czuł wielką w ciele, rany miał chędogo
Zawinięte i delją był przykryty drogą,
A w głowach obcy ludzie czekający stali,
I badawczem spojrzeniem w bladą twarz patrzali.
Z obozu jakiś hałas przytłumiony szumiał,
Jakieś gonienie dziwne, koni tępotanie;
Ale pan Jacek jako osłabion był mocno,
Nic się owego ruchu domyśleć nie umiał,
Jeno począł odprawiać swą modlitwę nocną,
I czuł, jak go nachodzi dobroczynne spanie.
Więc zaczął zwykły pacierz i współświadom siebie,
Dziękował za tę ulgę Panience na niebie,
I lubość jakaś wielka, z bolu urodzona
W łzach źrenicy mu błysła i w westchnieniu z łon
Dobyła się serdecznie. Lecz ciało strudzone
Nie dało mu domówić „Pod twoją obronę“
Oczy się zakleiły, w poduszkę skróń składa,
Szepce jeszcze i przez sen: Zdrowaś Marja! gada
Aż usnął, po raz pierwszy nie kończąc pacierza:
Ale za złe mu tego anieli nie wzięli
Ani Panienka święta, co stanęła w bieli
Nad głową starca rzewna, niewidzialna, cicha,
I na walkę snu z modłą lubo się uśmiecha,
A potem skroń stareńką dotknie dłońmi swemi
By duszę marzeniami pokrzepić rajskiemi.

19.

Rajski-ż sen miał pan Jacek. Ledwie zamknął oczy,
Wielkie światłości morze się przed nim roztoczy,
Niby śnieg spromieniony wschodem słońca złotym.
Ujrzał górę ogromną, której szczyt promienny
Stykał się z wieżycami z niebieskim namiotem.
Na górze klasztor, do Częstochowy podobny,
Jeno w bogactwie murów i wieżyc odmienny.

*) Zwyciężyłaś święta Pani, zwyciężyłaś królowo!

Z drogich kamieni mury go w wieniec nadobny
Otaczają, a kościoł wydaje się śrebrnym:
Złote ma dachy, w eżyc ma złocony rąbek,
A nad każdą wieżycą bieluchny gołąbek
Z różczką w dzióbku się waży w błękicie podniebnym.
Co najpiękniejsze drzewa, najwonniejsze kwiaty,
Wszystkie się usmiechają wdziękiem nieśmiertelnym
Rubinow i szmaragdow, jak księże ornaty,
Które Jacenty w skarbcu podziwiał kościelnym.
Woń jakaś dziwna w wietrze i cudowna wiosna,
Z głębi wieżyc harmonia nadlata radośna
Dzwonów, z kościoła organ silnie się odzywa,
To huczy jako gromy, to jak słowik śpiewa.
Zadziwił się pan Jacek i spojrzał po sobie:
„Musi być wielkie święto, a jać tu w chudobie,
W kubraku!“ Ale gdzie tam! Dziwnem przemienieniem
Miał kontusz swój świąteczny i pas złotolity,
I żupan własną ręką Haneczki uszyty,
Kołpak futrzany, by przed Bożem Narodzeniem
Obchodził z opłatkami szlachtę okoliczną.
A siwka, siodło nowe i tręzle prześliczną
Mając, stała bundziucznie i czekała pana:
„Cudo!“ myśli pan Jacek i rzecz niesłychana,
Ale siada i prosto w góre jedzie sobie.
Przyjechał w bramę—czyta, w złocistej ozdobie
Napisano: „Niech puka każdy sługa Boży,
A rajska brama zaraz się otworzy.“
Z rozkoszą Jacek napis bramy slabizował,
A że pomyślał sobie: „A on niechwalący,
Toć i ja sługa boży, Marję miłujący.
Więc chociaż organiście dadzą kątek w niebie,
A ty, Panienko święta, weźmiesz mnie do siebie.“
I zapukał: z za bramy dwa cudne głosiki
Odzywają się wdzięcznie, jak w lesie słowiki:
„A kto tam?“ „Z przeproszeniem, a to ja Jacenty,
Z Częstochowy mieszczanin, a Matki przeświętej
Miłośnik, organista od świętej Barbary,
Widzę, tam nabożeństwo, Boże narodzenie!
Toćby się panu Bogu chciał pomodlić stary,
A wszystkim ludziom przynieść serdeczne życzenie.“
„Witamy! a witamy!“ głosik się odzywa,
Brama pęka i dziwna jasność od niej spływa,

Aniołki dwaj, w zielone ubrani odzieże,
Trzepoczą skrzydełkami, jak rybki po wodzie:
„Witamy! wielka radość będzie w naszym grodzie,
Kiedy serdeczny Jacuś do niego przybywa,
Witamy i czekamy, czekamy, witamy!“
Jacek trzykroć się kłania niziutko kołpakiem,
Zmieszany wąsa kreci i naciąga szaty:
„At żartujecie sobie, paniczki z biedakiem!“
Ale już anioł siwkę przywiązał do bramy
I prowadzi go dalej promienistym szlakiem.
Huczą dzwony—organów słychać dzwięk wspaniały,
Jacenty że był znawcą, wpadł w podziw niemały
Nad wybornością tonów i graniem kapeli:
„Nie potrafi tak człowiek, widać to anieli!“
Aż tu procesja wielka idzie z chorągwiami,
Jakby na dni krzyżowe lub na Boże Ciało:
I czyli się to jeno Jacentemu zdało:
Ale śpiewali: Witaj! Jacku nad Jackami!
Więc najprzód w parach, w białe odzianych rańtuchy
Idą biednych ludzisków nieśmiertelne duchy,
Chudzina, co na świecie niemało doznała
Biedy, a przykazania boskie zachowała,
Aż pracując w kroplistem czoła swego pocie,
Znalazła odpoczynek w wieczystym żywocie.
Były tam kmiotki biedne, których pan Jacenty
Pogrzebał na cmentarzu z księdzem w ziemi świętej,
I chłopianki, sierótek otoczone kołem,
Które pod parafialnym pogrzebał kościołem,
A nie mało im w życiu naczynił posługi,
Ze serca, nie z chciwości jako klecha drugi,
Więc wszyscy uśmiechnięci szli k'niemu weseli:
„Jacenty! witaj! dawnoć my cię nie widzieli“
Toż opłatkiem się z każdym organista łamie:
„Niema czego wam życzyć, jest winszować czego,
Zeście ano królestwa doszli niebieskiego
I requiem znaleźli przy wieczności bramie.“
Aż tu mieszczanie, strojni w kapoty niedzielne,
W jupkach mieszczki, z czepkami na głowie złotemi,
Wychodzą. Jacek wiele ich zaznał na ziemi,
A to wszystko już teraz duchy nieśmiertelne.
A tu nieboszczyk ojciec, klecha z Częstochowy,
A to matka, to dziadek, to pradziad zsiwiały!

Pan Jacek w łzy się ledwie nie roztopił cały!
Całuje białe ręce, tuli siwe głowy,
Ku kolanom ojcowskim pokornie się schyla.
„A czy ja biedny grzesznik wart rozkoszy tyla!“
Ojciec z dziadem na łysą organisty głowę,
Łzy leje rozrzewnienia jasne, brylantowe,
Przyciskają do piersi: matka się z miłością
Patrzy, w czoło całuje najmilszego syna:
„Anom się nie zawiodła, pociecho jedyna,
Boś oto dosiągł nieba twoją pobożnością“.
A potem ręką wiedzie po ranach żałosną,
Co przez kontusz niedzielny błyszczą różowawo,
I rany się cudownie goją i zarosną.
A panu Jacentemu się tak jakoś mgławo
W oczach robi, że upadł do stóp swej macierzy,
Dwoje strumieni wartko mu po twarzy bieży,
Aż podniosła go z ziemi i cicho wyrzeka:
„Idź Jacku jeszcze więcej nagrody cię czeka.“

20.

Więc z objęć macierzyńskich wyrwawszy się żwawo
Poszedł dalej: I oto rzędami długiemi
Idą panowie szlachta, ubrani świątecznie,
Jakby jechali króla obierać swej ziemi:
Pod bieluchnym kontuszem, święcącém się mlecznie
Rubinowe żupany, męczeńska lśni szata,
Karabela u boku połyska bogata,
A w dłoniach krzyż ten dzierżą pięknie i statecznie
Który im dały wnuki do trumny na spanie.
A inni, co nie w świętej spoczywają ziemi,
Ale śpią gdzieś zabici w kresowym kurhanie,
Miecz dzierżą, a miecz krzyżem w ich prawicy świeci.
Są tam i wielkie pany z znaki koronnemi,
Buławami, pieczęćmi, laskami co w sejmie
Robiło spokój, ale cisi jako dzieci,
I od ich dumnej twarzy obawa nie zdejmie,
Bo się patrzą miłośnie, anielsko, uprzejmie,
I taka dobroć święta im z oblicza gada,
Jakby w progu z kielichem witali sąsiada.
Idą bez swarów dawnych, w braterskim spokoju,
Jako niegdyś chodzili do świętego boju:

Lecz pan Jacek, że umiał oddać cześć każdemu,
Zdjąć kołpak i na boku zatrzymał się skromnie:
Aż pan sędzia Wieluński poskoczy ku niemu
Nieboszczyk, wprzód protektor Jacka znakomity:
„Jacenty, mój Jacenty, choć-że tutaj do mnie!
A toć to w niebie równość, a kubrak mieszczański
Tak idzie na sąd wieczny przed trybunał Pański,
Jak karmazyn, ubrany w turecki pas lity!
A gdy niecnota, darów Pańskich rozproszyciel,
To mieszczana nad Pana postawi Zbawiciel!
Lecz ty; magnus defensor*) Przenajświętszej matki,
Pójdź do nas i z zanadrza wyjm twoje opłatki,
Opłatki, com to niemi tyle lat na świecie
Łamał się z bracią szlachtą w wieluńskim powiecie,
A w których tyle wspomnień mam drogich dla siebie,
Żebym i dzisiaj płakał, chociaż jestem w niebie!
Tu tłumem się do Jacka suną nieboszczycy;
Ściskając „Defensora" najświętszej dziewicy,
Łamią się opłatkami — a szmer jego sławy
Doszedł aże hetmanów koronnej buławy,
Biskupów i najwyższych kraju dygnitarzy:
Olśniał pan Jacek nagle od takich honorów,
Więc się kłania niziutko — pokraśniał na twarzy,
I jąka przeprosiny: „At ja człek chudzina,
Za nadto mnie nagrody i pańskich faworów,
Nie mieszać do rycerstwa mieszczańskiego syna!"
Ale ba! Ledwie wyrzekł — wspaniała drużyna
Królów, częstochowskiego grodu protektorów,
Wywodzi i świecącym otoczy go rąbkiem:
Poznał pan Jacek wielu, o których był czytał
W księgach. Poznał staruszka**), co białym gołąbkiem
Wyszedł naprzód i pierwszy go przychylnie witał,
A znak krzyża świętego nosił brylantowy,
Niby chrztu krople u swej posiwiałej głowy.
Pokorny był i cichy królów protoplasta,
U boku mu pobożna stanęła niewiasta,
I taką miłość wielką uczuł Jacek k'niemu,
Że wyrzekł: „Cześć i sława praojcu polskiemu,
Cześć matce, co nam pierwsi do naszego domu
Wnieśli Boga, że teraz jest się modlić komu."

---

*) Wielki obrońca. **) Piast, z kmiecia król.

Poznał i syna*) wnuków poznał, prawnuczęta**)
Zbrojni byli i groźni, lecz pobożność święta
Lśniała w oku, i wszelka dobroć jako biała
Gołąbka się im z twarzy marsowatych śmiała.
Przychylnie się opłatkiem z Jacentym łamali,
I o świętego grodu obrońcę pytali;
Poznał i króla chłopków***) któremu maleńki
Ojciec****) jak dziecię drobne się wieszał u ręki.
Ale oba jednacy animuszem byli,
A na twarzy rodzica lśni jeszcze blask chwili,
Gdy ojczyznę ratował z uśmiechem na twary,
A u boku miecz wielki jeszcze wojnę marzy!
Poznał i ową parę w purpury odzianą,
Co Polsce nowej chwały zwiastowała rano,
Niewiastę śliczną, która krzyż na piersiach dźwiga,
To nowy ród królewski: Jagiełło, Jadwiga!
U drugiej się znowu kończy szereg pary,
Przy ostatnim potomku idzie Zygmunt stary,
Siwy, postacią na dół schylony ku ziemi.
Włosy mu pierścieniami na purpurę płyną,
Ale taki ojcowski, jakby dłońmi swemi
Serce między swych ludów obdzielał drużyną!
Byli i oni króle, których zapamięta
Pan Jacek, albo poznał z opowiadań dziada,
A każdy do starego uprzejmie zagada,
A każdy mu na ramię bieluchne rączęta,
Przezrocze, przeświecone wskróś blaskiem wieczystym
Kładnie, uściskiem starca obdarza ojcowskim;
Że się nie mógł nadziwić dosyć sądom boskim,
I posiąść od roskoszy w tym dniu uroczystym.
Ale mu Częstochowa niemogła wyjść przecie,
Z głowy, ani klasztoru zapomnieć w zachwycie:
Więc króliskom się dobrym kłania należycie,
I mówi: „Króle święci, a co tam w dekrecie
Niebieskim napisano? Wy szczęśliwe duchy,
To was od Matki Bożej dojść musiały słuchy,
Co zamyśla uczynić z pokornemi sługi?
Szwed w oppressji klasztor czas już trzyma długi,
A jak nam nie folguje Panienka niebieska,

*) Ziemowit. **) Mieczysław I. Bolesław Chrobry. ***) Kazimierz wielki. ****) Władysław Łokietek.

To mogą ludzie upaść, a wróg nasz wziąść górę;
A tocby szkoda było, gdyby jej królewska
Stolica w te wandalskie dostała się ręce.
A jeszcze by zwycięzca urągał Panience!
Ledwie rzekł — wiatr niebieski wielką duchów chmurę
Uniósł w bok, że stanęli po obojej stronie.
A sam Jacek na środku upadł na kolana:
Bo przed kościołem jawi się Najświętsza Panna
W rąbku świętych — i obie wyciągnąwszy dłonie,
Dwa promienie rzuciła jak łuki tęczowe
Na klęczącego starca pochyloną głowę....
W chmurkach złotych, u boku Przenajświętszej panny,
Z skrzypeczków i basetli dźwięk wylata szklanny,
I po całych niebiosach śpiew kolendy buja:
„Po dekrecie już w niebie, chwała! alleluja!"
A panu Jacentemu tak pierś przepełniła
Niebieska roskosz, że się obudził na poły.

21.

Na jawie jeszcze słyszy, spiewają anioły,
Słychać organ, kościelnej muzykę kapeli,
Nutę dzwonów, co przyjście Chrystusa głosiła,
Przeciera oczy, patrzy, śnieg się przed nim bieli
Szeroko, klasztor cicho stoi śród śnieżnicy;
Organ słychać z kościoła — dzwon tętni z wieżycy.
Słońce ranne różowym pole blaskiem zlewa,
Wielka, świąteczna cisza, jak w czas sumy bywa,
Patrzy znów, przecierając oczy po raz drugi.
Śnieg, co jeno przysypał widokrąg daleki,
Nigdzie śladu człowieka, wydeptanej smugi,
Jakby kto przez te pola nie chodził przez wieki.
Przeciera oczy znowu, i w myśli się biedzi:
Czy to sen było wszystko?... Gdzież zginęli Szwedzi?
Nie ma Szwedów, po Szwedach niema i poznaki,
Tylko po wałach widać zburzone baraki,
A z pod śniegu wystercza armata strzaskana:
Niby maszt rozbitego okrętu po burzy.
Cudo! zawoła Jacek i raz oczy zmruży,
To szeroko otwiera. I już wytłumaczył
Sobie, że to sen jeno miał zwodniczy z rana
O Szwedach, oblężeniu, torturach i niebie,

Gdy mu dzbanek wiszniaku w głowie przeinaczył,
Że leży w swoim łóżku na ciepłym piernacie;
Gdy nagle ruszył ręką! ba! dni rusz bracie:
Ręka boli i jeszcze sznurem przywiązana;
Rusza nogą, a noga zatrzeszczy, aż dziwo.
Patrzy po sobie — ręką przywiązaną łapie
Przed siebie: *Toć pod sobą ma siwą szkapę siwą,*
I sznurami widocznie skrępowan na szkapie!
Siwa łep zwiesza na dół. A czarne jej grzywy.
Śnieg się bieli i stroi ją we włos sędziwy.
Zmrużyła oczy drzemiąc i stoi bez ruchu:
A tu już chrzęści brona na ciężkim łańcuchu,
Otwierają się wrota, a z za wrót głos bieży,
Kolędy dobrze znanej: W żłobie Jezus leży!
Tłum oblężonych lęci z rozkosznemi krzyki:
„Jacusiu! witaj! witaj! Poszły bezbożniki!
Ksiądz przeor w refektarzu na waszeci czeka.“
Trzeba wyznać, że od tej chwili, gdy Lotową
Zdziwienie zamieniło w bryłę soli ową,
Nikt bardziej zdziwionego nie widział człowieka!
Ale któż to opisać zdoła powitanie
Znajomych, krewnych, syna i córki i żony:
Jak go Hanna oplotła białemi ramiony,
Bledziutka, a tak bardzo, bardzo zapłakana,
Jak brzoza, co po burzy w świetle słońca stanie!
A te krzyki, pytania te bez odpowiedzi!
„A jak się masz Jacusiu? a cóż tam ci Szwedzi?“
A ten lament, gdy Jacek odwiązan od siwej,
Upadł o ziem i nie mógł dalej stąpić kroku,
A ową wielką miłość w wszystkich ludzi oku,
Jak go mieli w staraniu i pieczy troskliwej:
Że w krótce namaszczony cudownemi leki,
Do refektarza poszedł z hucznemi okrzyki...

22.

W refektarzu wesołą przeor ucztę dawał,
By zabawą uczciwą długi trud nagrodzić,
Pan miecznik jego zdrowia wznosić nie przestawał,
Jako wielkiego Marji i kraju obrońcy,
Aż ksiądz przeor zawołał do niego śmiejący:

Ot! Mieczniku! gdy Marja panna oswobodzić
Chce z obieży, to daję swą łaskę przeczyście,
Nietylko przeorowi ale organiście!“
I wprowadzając Jacka do biesiadnej sali:
„Panowie bracia, on ci nie szlachcic herbowy.
Ale kto zdrowia dla Marji nadstawiał i głowy,
Ten wart, panowie szlachta, byście dank mu dali.“
Tu opowiedział w krotce Brzuchańskiego trudy,
I jakiemi od śmierci wybawił się cudy.
Wtedy Miecznik z pierwszego się miejsca umyka,
Ujmuje starca, gwałtem sadza go przy sobie:
„Rycerz, mości panowie, niewart męczennika,
Bo onci w ziemskiej chodzi, ten w niebios ozdobie!
A kto dla Marji Panny wycierpiał tak wiele,
Czołem przed nim te herby, czołem karabele,
Czy go wyda chłopiański stan, czyli mieszczański!
Przeorze! twoje zdrowie pić w tej chwili miałem,
Ale on lepszym od nas udarzon udziałem,
My walczyli, on cierpiał! Więc bracia panowie;
Wnoszę kielich: Niech żyje pan Jacek Brzuchański!“
I wszyscy duszkiem starca wychylili zdrowie....

KONIEC.